

Początkowo najmniej „zarabiali” piłkarze (i nie tylko oni) Zagłębia, co z jednej strony potwierdzało już wcześniej zasygnalizowaną pustkę w klubowej kasie, a z drugiej – słabą w tym okresie formę sosnowiczian. Kiepsko było też w Polonii Warszawa i Lechu Poznań wciąż firmowanych przez zacofane i biedne nasze kolejnictwo.

A jakie były obowiązki piłkarzy? Można to zawrzeć w jednym, zdaniu: **trenować sumiennie, grać w zawodach mistrzowskich i pucharowych, no i oczywiście prowadzić sportowy tryb życia.** Z trenowaniem i graniem, choć nie zawsze na dobrym poziomie, nie było najgorzej, natomiast z tym „sportowym trybem życia” zawodników kluby nie bardzo sobie radziły. Największe skłonności do dolce vita przejawiali piłkarze Górnika Zabrze. Już przegrana z rozbitą Legią w Warszawie 2:3 i z ŁKS-em w Łodzi 1:4 wystawiła im złe świadectwo, a gdy jeszcze doszła do tego przegrana w Zabrzu z Gwardią Warszawa 3:4, mimo że do przerwy było korzystne 3:2, atmosfera na Śląsku przypominała inwokację z „Maratonu” Kornela Ujejskiego: – Ha, Sardes gore! Lament się rozrasta!... Zaczęto odsądzać Górnika od czci o wiary. Już bez żadnych zahamowań mówiono i pisano o nich „**Rycerze Wielkanocnego Stołu**”. Ligowa tabela nie kłamie: na półmetku rozgrywek 1958 Górnik był dopiero szósty za Polonią Bytom, Legią, ŁKS-em, Gwardią i Ruchem. Trener Zsoltan Opata był zrozpaczony.

Działo się to wszystko w roku mistrzostw świata. Tam uczta na szwedzkich boiskach, u nas głównie przy biesiadnych stołach. Przerwa w rozgrywkach, lipcowa kanikuła, sporo pracowników redakcji na urloпах. Na gospodarstwie zostali Zmarzlik i Cergowski, ja w zastępstwie „pana Grzegorza” prowadziłem dział piłkarski. Ligowe ogórki groziły spadkiem nakładu gazety. Na kłopoty jednak piłka nożna! Na różne sposoby podsumowywałem sezon, a tu jeszcze Zmarzlik podsunął intrygujący wszystkich temat – co słyszeć w Górniku? W letnie upały zmusił mnie do wyprawy na Śląsk.

Buszowałem kilka dni w Zabrzu, ale z niewątpliwą korzyścią dla pisma, czytelników i... samego Górnika. Zabawiałem się w Sherlocka Holmesa, wizją lokalną objąłem klub, mieszkania niektórych zawodników, restaurację i „melinę” zaprzyjaźnionego z piłkarzami fryzjera. Zdobyte tam informacje podparłem fragmentami felietonów „Wisza” z katowickiej „Trybuny Robotniczej”. W efekcie powstał z tego spory reportaż pod głównym tytułem „KILKA SŁÓW PRAWDY O GÓRNIKU ZABRZE” i wiele mówiącymi podtytułami · Piją czy nie piją? · Jak to było w NRF? · Kara za 17 tysięcy · Adwokaci czy kierownicy? · Przemęczeni bohaterowie...

Nie miałem wątpliwości – Górnik toczy się po równi pochyłej. Niejeden mistrzowski punkt „Rycerze wielkanocnego stołu” utopili w alkoholu. Kierownictwo klubu nie dostrzegało lub nie chciało widzieć tego problemu. W Górniku pijaństwo? To wielka przesada – usiłowano mnie przekonać. Jeśli „Jana” wypije jedno piwo, to już całe Zabrze huczy, że jest „centralnie” pijany. A zresztą, kto w lidze nie pije? Zdziwiająco: klubowi notable lepiej wiedzieli, kto pije w Legii, Polonii Bytom, ŁKS-ie i Wiśle, niż w Górniku. Bardziej realistycznie widziała to żona Kowala:

– „Mąż się znacznie poprawił... Po treningach już nie wraca, jak dawniej – pijany. Abstynentem nie jest, ale który chłop nie lubi wódki?...

„Epi” lubił ten ognisty napój bardziej, niż inni. To go zgubiło. Dwa lata później zginął tragicznie. A więc nadal pili. W dzień najczęściej u wspomnianego już fryzjera, a wieczorami w restauracji „Polonia”. To głównie stamtąd zdenerwowani kibice najczęściej dzwonili do klubu lub następnego dnia z samego rana wysyłali na Roosevelta anonimowe listy. Znał ten ból felietonista „Wisza”, skądinąd wiem, że był to pseudonim Wilhelma Szewczyka, na Śląsku bardzo popularnego pisarza: *„Jestem Górnikiem, tym się szczycę... W tym zespole dość często krąży kwartka jako symbol zbratania i jedności”*.

Kulisy słabej postawy zabrzan w rundzie wiosennej ujawnił również trener Opata na ogólnopolskiej naradzie trenerów. „**Górnicy są bez formy, bo piją...**” W klubie, zwłaszcza wśród piłkarzy, zostało to źle przyjęte. Zsoltan za mocno się wychylił. Powoli stawał się w Zabrze persona non grata. Opata to wyczuwał, ale kursu nie zmieniał. W Ustroniu na letnim zgrupowaniu zganił nawet swojego ulubieńca Pohla: – *Ernestowi wyraźnie się tu nudziło i znowu „zażył kropli”...*

Opinię publiczną w kraju zbulwersowały przede wszystkim echa wyprawy „zabrskich kombajnistów” do NRF. Grali tam dobrze, ale „podpadli” kibicom z zupełnie innego powodu. Nie protestowali, gdy dziennik „Frankfurter Allgemeine” napisał, że w Górniku grają sami Niemcy, nie zareagowali też gdy na afiszach reklamowano klub, jako Bergmann Hindenburg. Zapytałem więc w tym reportażu może nieco naiwnie, ale dobitnie: – **Znasz – li ten kraj? Hindenburg się nazywa...**

Piłka nożna jest twardym, męskim sportem. Twardzi i męscy muszą być również zawodnicy. Piłkarze Górnika Zabrze takich cech wówczas nie wykazywali. Nie miałem wątpliwości, że to powinno dać wiele do myślenia kapitanowi sportowemu PZPN podczas typowania kandydatów do reprezentacji Polski. Taki był końcowy wydzźwięk przykrego story o Górniku. W Zabrze (i nie tylko) przyjęto to z niesmakiem. Ówczesny prezes klubu pan Parnowski złożył na mnie skargę u naczelnego, a prawnicy z Warszawy mieli pretensje za passus „Adwokaci czy kierownicy?”. Czas jednak pokazał, że ten tekst był potrzebny. Odwołano stary zarząd, powołano komisaryczny. Poskutkowało. Już w następnym sezonie Górnik znowu był najlepszy. Czy wtedy w tym klubie już nikt nie pił? Zmienił się tylko trener, Zsoltana Opate zastąpił Janosz Steiner, ten sam, który wcześniej pracował w Legii. Wraz z nim pojawiło się zgoła inne spojrzenie na spożywanie kalorii w płynie:

– Fojcik ist gut. Pilkasz muss trinken! – to kolejny dowcip rubasznego Węgra.

Sezon 1958 zakończył Górnik na Stadionie Śląskim w Chorzowie bezbramkowym remisem z ŁKS-em. Ostatecznie zajął trzecie miejsce w lidze właśnie za łodzianami i Polonią Bytom. Rywal zza miedzy złorzeczył na zabrzana, bo gdyby wygrali, choćby 1:0, mistrzem Polski byłaby Polonia, a nie ŁKS. Czy było by to sprawiedliwe zakończenie sezonu? Nie. Tytuł, jak najbardziej zasłużenie przypadł „Rycerzom Wiosny”. W konfrontacji ze śląskimi rywalami okazali się wyraźnie lepsi, nie przegrali z nimi ani jednego spotkania. Większość z nich oglądałem, także to ostatnie w Chorzowie. Od początku rej wiedli tam łódzcy kibice:

– Kaj my to som? – zapytał przed meczem Zbyszek Rzaski, kierownik działu sportowego „Wieczoru Katowice”, a po zwycięskim dla łodzian 0:0 wrzasnął w loży prasowej: – *To już nie tylko „Rycerze Wiosny”, to „Rycerze całego roku!”*. Był to najcenniejszy remis w 50-letniej historii klubu. Kibice wzniesli transparent: MISTRZOWI POLSKI – STO LAT!, a ja swoją relację z tego meczu zatytułowałem: „**Niech żyje Król Rycerzy Wiosny**”. Cichym bohaterem tego bezbramkowego pojedynku był lewy obrońca ŁKS, Henryk Stusio. Całkowicie zaszachował Ernesta Pohla. W Chorzowie łodzianin rozegrał najlepszy mecz w karierze.

Dokonując oceny rozgrywek w 1958 roku stwierdziłem jednoznacznie, że ŁKS bezwzględnie zasłużył na mistrzostwo. Grał równo i mądrze. Raz tylko powinęła mu się noga, w Warszawie – przegrał z Legią 0:3. „**Dylyzans z Łodzi uległ warszawskiej dreźnie**”. Tę wpadkę ŁKS odbił sobie z nawiązką na Stadionie Dziesięciolecia, pokonał tam Gwardię 5:0. Po tym meczu do „harpagonów” już na stałe przylgnał epitecik: „**Była perła, ale się sterła**”. Wahania formy uważano wtedy za największą zmoreę naszych ligowców, a Gwardię w tym względzie za przykład wręcz kliniczny. Wczesną wiosną zaraz po powrocie z wyprawy do Egiptu i Sudanu zdeklasowała Legię 5:1, ale jesienią na kolana rzucił ją ŁKS. Trener Foryś nie bez podstaw zalił się wtedy przy każdej okazji: – *Najtrudniej upilnować zawodników w czasie wolnym od zajęć. Bóg wie, co wtedy robią...* My wiedzie-

liśmy – odwiedzali nocne lokale z licencjami na alkohol, najchętniej „Melodię” na Nowym Świecie. Zdarzało się, że zamiast w drzwi „trafiali” w lustro i szpetnie rozbijali głowy. Lustro też...

Cała Łódź świętowała Złote Gody klubu i mistrzostwo Polski. Na Piotrkowskiej powiewano transparentami „**Rycerze Wiosny silni i jesienią**”. Bawiłem się razem z kibicami i działaczami. Z Jankiem Wojdygą na kilka dni zakwaterowałem się w Grand Hotelu. Apartament na pierwszym piętrze z balkonikiem i widokiem na Piotrkowską non stop zajmowali notable klubowi. Podejrzewam, że za wszystko płacił zagorzały sympatyk ŁKS, wtedy niewątpliwie kibic numer jeden, Tadeusz Warchulski. Święto ŁKS zbiegło się z jego imieninami. Solenizanta stać było na wystawne przyjęcia i prezenty dla zawodników. Zapewniał mu to status obrotnego prywaciarza. Pan Tadeusz swoją mocną pozycję zwykł ubarwiać śmiesznymi makaronizmami.

Ugościł również wysłanników „Przeglądu”. To drobiazg, jednak dokonał rzeczy po stokroć ważniejszej. Do apartamentu zaprosił, akurat wtedy przebywającego w Łodzi – Jana Kiepurę. Nasz wielki tenor wcześniej koncertował już na stadionach, platformach i dachach samochodów. Teraz wyszedł na balkon, spojrzął na Piotrkowską w prawo, w lewo, a tam wciąż tłum ludzi przed siedzibą klubu. Znowu poczuł się, jak na scenie i... zaczął śpiewać. Najpierw „**Brunetki, blondynki, ja wszystkie was dziewczynki całować chcę...**”, a potem swoją nieśmiertelną „**Ninon, ach uśmiechnij się...**” Żaden komentarz nie jest w stanie oddać nastroju tego popołudnia. Łódź falowała z radości!

Plonem naszej wyprawy do Łodzi były przede wszystkim zgrabnie opisane reakcje trenera Króla na to niezwykle wydarzenie, prezentacja zawodników, ich upodobań i słabości, wreszcie typowo sportowa ocena mistrzowskiej drużyny i jej największych bohaterów. Właśnie wtedy ochrzciliśmy Leszka Jezierskiego „Łódzkim Napoleonem” i ogłosiliśmy specem od gotowania, a Staszka Bara-



na przedstawiliśmy w roli miłośnika sztuki i zatwardziałego domatora. Rozmowa z seniorem ŁKS wyraźnie się wydłużała. Zerwał się wtedy z krzesła i przeprosił za brak czasu:

– „Santa madonna, poratuj!... Jutro z dalekiej podróży wraca żona ma...”  
Miałem okna wymalować, dywany wytrześć, a my tu gadu gadu o moich słabościach. Lubię teatr, operę, operetkę, muzykę w każdej postaci. Przepadam za tańcem... No, a grę w brydża i kierki kocham niemal tak samo, jak piłkę nożną. Z artystami jestem za pan brat, przecież grałem kiedyś z „Makusiem” Łączem w jednej drużynie... Ale teraz pędzę do domu...

Wysłuchałem też monologu trenera Władysława Króla. (Wojdyga zamęczał w tym czasie kapitana drużyny Władysława Soporka).

– Najwyżej stawiam obronę. Jest w niej żywioł i filozofia. Żywioł reprezentuje „Burza” Szczepański, a filozofię – zdolny myślowo, utalentowany stoper Wlazły. Stusio – to wzór pracowitości. Duet pomocników Jańczyk – Grzywocz dorównuje reprezentacyjnej parze Gawlik – Zientara. A napad? Zbyt często gra systemem „stu podań”. Brak w nim teraz zawodników typu Staszka Barana – fajtera, przebojowca. Wladek Soporek – interesująca postać, a Leszek Jezierski bardzo wysoko zaawansowany technicznie. Dużym talentem jest Kowalec. No i Henio Szymborski... Inteligentna bestia, ma wszystko!... Także ładną buzię... Kobiety go lubią, ale w futbolu to żadna zaleta, raczej wada. Chłopak zabawowy, w równym stopniu umiłował rozkosze dnia i nocy...

W cieniu mistrzostw świata w Szwecji nasza reprezentacja rozegrała sześć spotkań międzypaństwowych i... żadnego nie wygrała. Bilans sezonu 1958 był jednym z najgorszych w historii PZPN: trzy remisy – dwa razy po 2:2 z Irlandią i 1:1 z NRD oraz trzy przegrane – z Danią 2:3, Szkocją 1:2 i z Węgrami 1:3. Byłem „świadkiem koronnym” pięciu z tych sześciu spotkań, ale tylko dwa na dłużej utkwily w mojej pamięci. W końcu maja po raz pierwszy wydelegowano mnie,

umownie mówiąc, na Zachód, bo faktycznie była to północ Europy – Dania. Teoretycznie nasza drużyna w układzie personalnym nie była wtedy zła, w praktyce nieporadna. W pierwszym kwadransie meczu z Danią – kompromitacja. W loży prasowej stadionu Idraetsparken rumieniłem się ze wstydu. Za piłkarzy, członka kapitanatu Stanisława Szymaniaka i trenera Adama Niemca. Pierwszy zastępował Reymana, a drugi Forysia. Nieudolnie!...

## RADIOLOG CZY SELEKCJONER?

Szymaniak wpadł na pomysł, żeby dobrego prawego obrońcę Stefana Floreńskiego wystawić w Kopenhadze na stoperze, a mistrza na tej pozycji, Romana Korynta – posadzić na ławce rezerwowych. Trener Niemiec nie miał tu nic do powiedzenia. Efekt był taki, że już po 15 minutach Duńczycy prowadzili 3:0. Nie wytrzymałem nerwowo: – Wprowadzić Korynta! – krzyknąłem w kierunku polskiego boksu. – Nie wiem, czy mnie usłyszano i usłuchano, faktem jednak jest, że Roman zajął miejsce Stefana. I do katastrofy nie doszło (w 1948 już raz było 0:8!), ostatecznie przegraliśmy tylko 2:3. Bramki dla nas zdobyli Cieślik i Lentner. Dzielnie ich wspomagali: Jezierski, Norkowski i Brychczy.

Po meczu, już na spokojnie spytałem przygaszonego Szymaniaka, jaki diabeł go podkusił, że kiepskiemu taktycznie Floreńskiemu powierzył tak ważną funkcję w zespole. Odparł w stylu radiologa, a nie selekcjonera:

– Przecież nie miałem ze sobą aparatu Roentgena... Nie mogłem tego przewidzieć!...

Więcej pytań nie miałem, ta jedna odpowiedź w pełni ukazała faktyczną wiedzę członka kapitanatu. Bardziej racjonalnie ocenił występ Ślązaka trener Niemiec: – Floreński na tej pozycji do tak poważnego meczu jeszcze nie dorósł... Reyman, Szymaniak i Dyrda – dotrwali na swoich fotelach do końca tego nieudanego

sezonu. Wkrótce jednoosobowo zastąpił ich Czesław Krug, rodowity warszawiak, ale ostatnio pracujący w Arkonii Szczecin. Z polecenia „pana Grzegorza” pognaliśmy za nim na Wały Chrobrego i jeszcze zanim przejął ster reprezentacji, wystawiłem niezłą cenzurkę. W parze z Forysiem dawał nadzieję na nieco lepszy 1959 rok.

Kopenhaga jest ładnym i schludnym miastem. Pierwszy szok – w porównaniu z naszym starym „Okęciem” – przeżyłem na lotnisku. Ubikacje, jak wytworne salony. Czystość aż biła w oczy! Zapachy, też nie odstraszały... Co kraj, to obyczaj? Raczej dysproporcja między bogatym Zachodem, a ubogim Wschodem. Na ulicach mnóstwo rowerzystów, w kanałach sporo tramwajów wodnych. Piękna rzeźba Syrenki. Wówczas wszystko to było dla mnie nowością. Także rytuał pomeczowego bankietu. U nas na takich imprezach, nawet po przegranym meczu, choć na stołach mniej „delikatesów”, a więcej wódki, na ogół luz, humor, swoboda. W Danii inaczej – nastrój ciszy i powagi. Można było odnieść wrażenie, że to sztywne dworskie przyjęcie, a nie feta po wygranym meczu. Kelnerzy podawali do stołu tylko na sygnał jakiegoś restauracyjnego kamerdynera i w paradnym tempie. Feudalne tradycje?...

W bardziej kameralnej formie spotkaliśmy się z miejscową Polonią. Czuło się lekkość rodaków. Piłkarze odśpiewali ulubioną piosenkę: „**Córuś moja córuś nie chodź za piłkarza, bo piłkarz pojedzie w daleki świat, a ty będziesz sama...**” natomiast bramkarz Henryk Gronowski z Lechii Gdańsk zaprezentował na fortepianie recital z pogranicza konkursów chopinowskich. W poniedziałek przed południem całą ekipę przyjął też szef naszej placówki dyplomatycznej. Znowu było wesoło: wino, śpiew, brakowało tylko kobiet. Ale i tak przypominało to sarmackie „kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!”.

Po południu wraz z kolegami z innych gazet i Polskiej Agencji Prasowej wybrałem się do słynnego parku rozkoszy „Tivoli”. Tu przeżyłem kolejny szok – masz tu wszystko, czego dusza zapagnie. To tak wygląda zgniły kapitalizm, ten



zły świat za „żelazną kurtyną”?! Mnie zainteresowały przede wszystkim gry zręcznościowe. Na strzelnicy przykułem wzrok do biegnącego jelenia. Trzeba w niego trafić gumową kulką. Wykupiłem dwa karnety, każdy uprawniający do dziesięciu rzutów ręką. Bez żadnej próby! Pierwszy strzał – pudło, ale już dziewięć następnych nieźle premiowanych. Jest pierwsza nagroda. Druga seria cała moja. Kole-dzy zdumieni, krupier lekko przestraszony, grzecznie zaproponował inną zabawę. Spasowałem i poprosiłem o wypłacenie wygranej w duńskich koronach. Wystarczyło to na atrakcyjny prezent dla żony – dobrej marki granatową spódniczkę i białą bluzeczkę. Takich eleganckich ciuchów u nas wtedy nie było.

W następnym meczu ze Szwecją „biało-czerwonym” znowu się nie powiodło, dopiero w trzecim w Rostocku z NRD zremisowali 1:1. Był to zacięty pojedynek, zakończony niesmakiem. Niemcy, pomni niedawnego 2:0 w Chorzwie, znowu liczyli na pewne zwycięstwo. Do przerwy prowadzili 1:0, bo słabiej niż oczekiwaliśmy grał Roman Korynt. Po każdym starciu z napastnikiem masował swoje żebra. Kilka razy podbiegł do trenera Forysia i coś szeptał do ucha. Jest źle, coś mu dolega. Prosił o zmianę? Nasz „arbiter elegantiarum” zalił się, że środkowy Troeger raz po raz wali go po plecach... protezą. Dłoń stracił na froncie wschodnim. Magister przywołał do siebie Jurka Woźniaka. Co wymyśli ten mistrz motywacji i forteli?

Tadeusz Foryś omal nie doprowadził do draki w obozie demoludów. Przywołał do siebie Woźniaka, coś mu powiedział, a Jurek przy pierwszej okazji tak prawdziwie po warszawsku natarł na Troegera. Obaj padli na murawę, ale „Siwy” wstał o własnych siłach, natomiast Niemca zniesiono do szatni na noszach. Już nie wrócił na boisko. Sodoma i Gomora, gwizdzą kibice, wygrażają pięściami. Foryś wciąż w swoim żywiole:

– Gerard walcz! – to do Cieślaka – Lentner nie stój! Heniek! – to do Kempnego – wyjdź po piłkę! – Gawron nie chowaj się!

Cel osiągnął. Napad w składzie: Gawroński (Norkowski), Nowara, Kempny, Cieślik, Lentner (Jarek) zaczął grać z zębem. Kempny strzelił wyrównującą bramkę. Remis 1:1, Niemcy rozczarowani, my zadowoleni. Trener rozgrzesza Woźniaka:

– Wie redaktor, „Siwy” nie lubi Niemców, ma powody – zamordowali mu ojca. Wykorzystałem ten atut. Wykonał zadanie...

Tak zakończył się reprezentacyjny półmetek 1958. Drużyna grała nierówno, z reguły w każdym meczu nieźle prezentowała się obrona, ale napad – na pałę z minusem. Foryś był niepokieszony:

...„Kici i Gerard zdrowi i w dobrej formie są w stanie zrobić grę, poderwać zespół. To za mało, potrzebuję pięciu napastników. Teraz brak jest przede wszystkim Kempnego w dobrej formie, z którym Brychczy dobrze się czuje w roli drugiego środkowego. Jeśli Heniek odzyska formę, a Brychczy zdrowie, to wówczas Cieślik mógłby spełniać rolę rozgrywającego. Katastrofa jest jednak na skrzydłach. Gawroński i Lentner obecnie nie nadają się do reprezentacji...”

Ocena trafna, ale... nie do końca. Cieślik urodzony przebojowiec i strzelec, nigdy nie był i nie będzie rozgrywającym z prawdziwego zdarzenia. Takim, jakim zaraz po wojnie był jego przyjaciel Mieczysław Gracz, a nieco później Edmund Kowal i Witold Majewski. Trzeba szukać innych rozwiązań. Zadanie trudne, z rozgrywającymi nasi trenerzy zawsze mieli kłopoty i tu popełniali najczęściej błędów.

Przemyślałem to spacerując po ulicach Berlina Zachodniego. Towarzyszył mi red. Zbigniew Kossek. Nie bez obaw dotarliśmy do „okna wystawowego” Europy za „żelazną kurtyną” w naszym kraju znanego tylko z kłamliwych opowieści. Kurfuerstendamm... A nuż nas tu zwiną? To echa krajowej propagandy. Rzeczywistość zgoła inna: widok baśniowy, nastrój pogodny, a efekty świetlne przestające naszą wyobraźnię. Tak, Berlin Wschodni i Zachodni – to dwa różne

światy. Marzymy o dobrym filmie, również z tego innego świata. Jest! „Most na rzece Kwai”... Zналиśmy już rytm melodyjnego marsza z tego niezwykłego obrazu, teraz wiemy wszystko. Nie tylko Polak, Anglik również jest mądry dopiero po szkodzie...

Mistrzostwa w Szwecji po raz kolejny dowiodły, jak daleko naszemu futbolowi do światowej czołówki. W eliminacjach dość wyraźnie górowała nad nami reprezentacja ZSRR, tymczasem w turnieju finałowym nie odegrała większej roli. Po tej lekcji postanowiono wreszcie zerwać z irracjonalnym „jakoś tam będzie”. Powstał Wydział Szkolenia z Koncewiczem w roli głównej. To był strzał w dziesiątkę. „Faja” miał już za sobą niepodważalne sukcesy w klubach, także kilka efektownych zwycięstw reprezentacji, ale dopiero jako szef tego wydziału błysnął nieprzeciętnym talentem. Zorganizował od podstaw cały pion szkolenia. Postawił głównie na młodzież, dokształcanie trenerów, systematyczną opiekę lekarską i dobrą organizację w terenie.

Autonomicznej sekcji reprezentacji wówczas jeszcze nie było. Dopiero w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, by zaznaczyć wagę swojej pozycji w PZPN, utworzył ją Jacek Gmoch, a później Jerzy Engel przesadnie podniósł do rangi departamentu. Z kompetencjami osób odpowiedzialnych za selekcję niemal zawsze były u nas kłopoty i nieporozumienia. Komu to właściwie podlegało? Najpierw był kapitan, potem kapitanat, zespół selekcyjny, znowu kapitan, wreszcie selekjoner. W każdym z tych układów niejako na uboczu, z mocno ograniczonymi kompetencjami był trener. To urażało ambicje Koncewicza. Zdecydowanie górował kompetencją i doświadczeniem nad odpowiedzialnymi za selekcję i taktykę, ale zgodnie z obowiązującą wówczas strukturą PZPN, był im podporządkowany.

W praktyce istniały dwa ogniwa decyzyjne. Silna, z dużymi uprawnieniami funkcja kapitana związkowego, ale rzadko poparta niezbędną fachowością oraz

tylko połowiczna, choć znacznie bogatsza w wiedzę, faktyczna władza trenera. Ta dwutorowość irytowała Koncewicza. Będąc pewnym wyższości swej koncepcji nad selekcyjną hybrydą, znowu jakimś tam „ni pies, ni wydra”, stał się gorącym zwolennikiem jednoosobowej odpowiedzialności za pracę z reprezentacją. Zmagał się w tej materii z Czesławem Krugiem nazywanym „szczęśliwym kapitanem”, Wiesławem „profesorem” Motoczyńskim i najmniej z tej grupy kompetentnym, Klemensem Nowakiem. Swoje wiedział, ale w tajemnicy przed kapitanami właśnie mnie niekiedy pytał, kogo oni chcą wystawić w danym meczu. Paranoja. Ale dopiął swego! Od drugiej połowy 1966 roku za pracę z reprezentacją jednoosobowo odpowiada – SELEKCJONER TRENER.

Dość długo nie pochwalałem tego mariażu. Nie sam pomysł, lecz... brak odpowiednich wykonawców. Trudno było znaleźć człowieka, który z jednej strony dobrze radziłby sobie w selekcji, a z drugiej – potrafiłby odpowiednio przygotować drużynę i dobrze sterować nią w czasie gry. Tu nie wystarczy wiedza podręcznikowa, dobre chęci i przeciętne uzdolnienia. Tu potrzebny jest talent, wyobraźnia, autorytet. Jediną osobą, która w stopniu graniczącym z geniuszem potrafiła łączyć selekcję z pracą trenera, był Kazimierz Górski. Niedawno przyznano mu tytuł „Trenera Stulecia”. Jest również Doktorem Honoris Causa Gdańskiej AWF. To właśnie ta ranga!

Wybitnym kapitanem sportowym PZPN już w latach trzydziestych był Józef Kałuża. Z zasady jednak swoją pracę z reprezentacją ograniczał do selekcji, natomiast bieżącą robotę na boisku powierzał trenerom. Ryszard Koncewicz parał się tym sam i to lepiej, niż inni, ale nieco słabszą jego stroną była selekcja. Ten wybitny szkoleniowiec za bardzo przywiązywał się do nazwisk i zawodników, których sam niegdyś trenował. Nie za bardzo ufał kolegom ligowym. Stąd dość często na linii klub – reprezentacja dochodziło do starć. Cierpiała selekcja. A Górski? Był wybitnym trenerem i selekcjonerem.

W przeciwieństwie do Górskiego, Koncewicz nie miał też daru zjednywania sobie działaczy społecznych. Wielu z nich nie doceniał, niektórych uważał za ignorantów „przynoszonych w teczkach”. Przez zdecydowaną większość piłkarzy i trenerów był jednak bardzo szanowany. Stał się niekwestionowanym liderem zwłaszcza ogromnej „lwowskiej fali” szkoleniowców, między innymi Tadeusza Forysia, Michała Matyasa, Adama Niemca, Stanisława Tymowicza Antoniego Piechniczka, Leszka Jezierskiego, Edmunda Zientary, Wojciecha Łazarka, Andrzeja Strejlaua i właśnie Kazimierza Górskiego. Autorytet w każdym calu. „Faja” uważał technikę, taktykę i kondycję w futbolu za trzy zgodne boginie, ale na zgrupowaniach kadry największy nacisk kładł na przygotowanie fizyczne i taktykę. Dawał zawodnikom w kość, co potem procentowało również w klubach. Reprezentanci nie ukrywali: – „Z Koncewiczem to się świetnie trenowało!”.

Spytałem kiedyś Górskiego:

– Słuchaj Kaziu!... Przed tobą za najwybitniejszych polskich trenerów, takich – którzy dobrze radzili sobie w pracy klubowej i z reprezentacją, uważałem „Myszkę” Matyasa, magistra Forysia oraz „profesora” Koncewicza. Jak tych ich oceniasz? Bo Koncewicz, mimo że złośliwcy chętnie stawiali was na przeciwstawnych biegunach, wyrażał się o tobie przyjaźnie i jednoznacznie dobrze. Opowiadał:

„Blżej poznałem Górskiego na kursie trenerskim w 1953 roku w Krakowie. Był pilny i zdyscyplinowany. Potem przez wiele lat obaj pracowaliśmy w PZPN. W zawodzie trenera od początku był dobrze prowadzony, prawidłowo dojrzewał... W końcu 1970 roku zajął moje miejsce przy drużynie. I od tej pory zaczęły się sukcesy naszej reprezentacji. Tego nikt nie może negować. Wszystko, co najlepsze, słusznie przypisuje się Górskiemu”.

– Czy to nie piękne? Tak może powiedzieć o rywalu z branży tylko przyjaciel, człowiek prawy, a nie jakiś wyimaginowany wróg lub hochsztapler?



– Rysio – odpowiedział Górski – to dawna, dobra lwowska szkoła. Mógł coś mieć i zapewne miał na wątrobie, na pewno ubolewał, że z reprezentacją nie bardzo mu się powiodło, ale zawsze był sprawiedliwy. Nie rzucał słów na wiatr i nie podejmował pochopnych decyzji. Jacy byli ci pozostali?... Matyas... Typowy praktyk, niegdyś doskonały technik... Chciał, by każdy piłkarz z taką gracją stopował piłkę i strzelał gole, jak on... A to niemożliwe. „Myszka” był tu niedoścignionym wzorem, klasą dla siebie. Nerwowym marzycielem... Forys? Ten dla odmiany był teoretykiem. Otwarty, swobodny, elokwentny, dowcipny... Koncewicz miał w sobie coś i z Matyasa i z Forysia. Dobry organizator, spokojny, zrównoważony, ale... zamknięty w sobie. Utrzymywał dystans... Trzy różne typy psychologiczne.

Na przełomie 1958 i 1959 roku z inicjatywy Koncewicza PZPN zorganizował w Chylicach pod Warszawą II Ogólnopolską Unifikację nauczania gry w piłkę nożną. Jeszcze niewiele mówiono tam o nowościach taktycznych z mistrzostw świata w Szwecji, ale osiągnięcia tych obrad są trudne do podważenia. W towarzystwie Wiesia Motoczyńskiego codziennie dojeżdżałem tam dobrze wówczas znaną i podziwianą „podwarszawską ciuchcią”. Chciałem bliżej poznać tajemnice futbolu. I nie zawiodłem się, wyniki tej unifikacji rzeczywiście były wyjątkowo pożyteczne. Wreszcie postanowiono przenieść na polski grunt nowoczesne metody szkolenia. Było tam też sporo historii, ale przeważała terażniejszość: praca z młodzieżą, metodyka treningu ligowców i seniorów w niższych klasach.

Pracowały trzy merytoryczne komisje. Obok już uznanych autorytetów: Mieczysława Balcera, Zygmunta Jesionki, Józefa Murgota, Tadeusza Forysia, Edmunda Świątkowskiego i Ryszarda Koncewicza do zajęć włączono kilku młodszych i zupełnie młodych trenerów: Jerzego Talagę, Kazimierza Górskiego, Antoniego Brzeżańczyka i Henryka Serafina. Osiągnięcia chylickiej unifikacji wydano w formie skryptu. Długo zawarta tam wiedza była niemalże pismem świętym dla krajowych trenerów. Na temat szkolenia młodzieży najcenniejsze były wykłady

Kazimierza Górskiego. W Chylicach przekazał kolegom doświadczenia zebrane na czterech turniejach UEFA (1955 – Włochy, 1956 – Węgry, 1957 – Hiszpania, 1958 – Luksemburg) oraz wnioski z sympozjum szkoleniowego w Szwecji. Był tam z Pawłem Dawidczyńskim z ŁKS i Wiesławem Korzeniowskim z Legii.

Górski w latach 1954 – 1959 często podróżował po Europie i tam pogłębiał swoją wiedzę: o szkołach, stylach, systemach i taktyce gry w piłce nożnej. Wszystkie nowości przekazywał Radzie Trenerów PZPN. Krajowym szkoleniowcom niewątpliwie sporo tu pomogła również książka dra Stanisława Mielecha „STYLE, SZKOŁY I SYSTEMY W PIŁCE NOŻNEJ”. Styl – zdaniem doktora, to zespół podobnych do siebie zagrań o wyraźnie rzucających się w oczy cechach, nawykach. Stąd np. styl ofensywny lub defensywny, zaś szkoła to odmiana stylu o charakterze narodowym, lokalnym, zależna od klimatu i innych uwarunkowań środowiskowych. W skali światowej najslynniejsze były i częściowo nadal są trzy szkoły: łacińska, kontynentalna i środkowo-europejska, a w Polsce krakowska, lwowska i śląska.

System? Najogólniej mówiąc jest to ustawienie zawodników i w miarę ściśle określenie ich funkcji na boisku. Od tego zależy umiejętne przechodzenie z obrony do ataku i odwrotnie. Najwięcej kłopotów sprawiało zdefiniowanie pojęcia taktyki w futbolu. Teoretycy podkreślali jej dużą rolę w grze, ale też dawali do zrozumienia, że taktyka jest najczęściej pochodną zmian, jakie co jakiś czas następują w przepisach i systemach gry. Od tego uzależniano sposób walki i zadania w grze poszczególnych zawodników. To, co w kwestii taktyki zaoferowano w Chylicach jakościowo przekraczało już osiągnięty poziom wiedzy. Prym wiódł tu właśnie Ryszard Koncewicz. Gdzie się tego nauczył?

Byłem jeńcem wojennym, przez ponad pięć lat przebywałem w oflagu w Woldenbergu – opowiadał. – Byli tam przeważnie ludzie młodzi, w sile wieku. Dla większości z nas sport w ogóle, a piłka nożna szczególnie, była najskuteczniejszą

obroną przed załamaniem psychicznym. Najlepsi piłkarze otoczeni byli troskliwą opieką przez kolegów niedoli. Od anonimowych nadawców otrzymywaliśmy paczki żywnościowe. A ja także sporo publikacji o historii i współczesnych wartościach futbolu. Szkoły, style, systemy, taktyka gry... Pilnie to studiowałem, ot i wszystko...

Od Koncewicza ja również dowiedziałem się, czym różnił się system „wewnętrznej obrony” od „trzech obrońców” i dlaczego Herbert Chapman z londyńskiego Arsenalu uważał, że w futbolu „najważniejsze jest bezpieczeństwo pod własną bramką”. Jaka jest rola „łazika” w ustawieniu 1+3+2+5? Co to jest wariant „roszadowy” i co w żargonie piłkarskim oznacza „pomocnik przed atakiem”. W pierwszych latach pracy w „PS” miałem o tym niewielkie pojęcie, zresztą niektórzy trenerzy oraz większość działaczy i piłkarzy również. Dopiero seria publikacji z unifikacji w Chylicach wielu ludziom znacznie poszerzyła piłkarski horyzont.

O naszym powojennym piłkarstwie, ubogim w teorię i praktykę, dość często rozmawiałem też z Mieczysławem Graczem z Wisły Kraków. Był w reprezentacji tym, do których „Faja”, aczkolwiek w klubie nigdy go nie trenował, miał największe zaufanie.

Gdy drużynie nie szło, chłopcy tracili siły, wtedy Koncewicz wrzeszczał do mnie: – „Messu”, ty masz największe zdrowie... Musisz!”. Przed Koncewiczem reprezentacja grała w „ciemno”, bez ładu i składu. Naszymi atutami były tylko: jakiś tam talent, umiejętność improwizacji i... wyczucie. Zwyczajny piłkarski nos... Kiedy „profesorek” Kuchar usiłował wprowadzić do zespołu coś nowego, skończyło się to przegraną w Kopenhadze z Danią 0:8. Właśnie dopiero po tej wpadce pan Rysio praktycznie od podstaw zaczął nas uczyć taktyki. W tym względzie jego zasługi są wielkie i niepodważalne.

Koncewicz w skali dotychczas niespotykanej ożywił wszystkie formy szkolenia PZPN. Kierunek wytyczony w Chylicach powoli docierał do okręgów i klubów, stawał się tam obowiązujący, choć nie wszędzie były po temu odpowiednie

warunki i nie wszyscy chętnie się temu nakazowi podporządkowywali. Tak czy inaczej rok 1959 trzeba uznać w szkoleniu piłkarskim za urodzajny. Fakt, w rozgrywkach ligowych, nadal zdarzały się taktyczne niewypały, nadmierne „murowanie” własnej bramki, ale krok naprzód został zrobiony. Czym konkretnie, na dobre i na złe futbolu, wyróżnił się ów rok 1959?

Byłem wtedy „świadkiem koronnym” w zasadzie wszystkich ważniejszych wydarzeń. Na plus zaliczyłbym przede wszystkim pierwszy start „biało-czerwonych” w rozgrywkach o mistrzostwo Europy. Reprezentacja pod dowództwem kapitana związkowego Czesława Kruga i trenera Tadeusza Forysia, choć nie podbiła kontynentu, wstydu nam nie przyniosła. Sezon rozpoczęła 20 maja w Hamburgu rewelacyjnie, od remisu z NRF, mistrzem świata ze Szwajcarii. Do przerwy nasi ze strzału Krzysztofa Baszkiewicza nawet prowadzili 1:0, a Brychczy wprost ośmieszał wówczas dobrze znanego w piłkarskim światku niemieckiego pomocnika Szymaniaka. Porywający futbol zademonstrował Marcelli Strzykałski, wyróżniał się również Jan Liberda.

To miła niespodzianka, ale nie została dobrze „sprzedana” w prasie. Na tym meczu nie było polskich dziennikarzy. Nie otrzymali wiz wjazdowych. Z redakcji „Przeglądu Sportowego” w tym „podejrzanym” gronie znalazł się Grzegorz Aleksandrowicz. A jednak duże fragmenty tego, jak wówczas mówiliśmy „mecz pierwszej jaskółki”, obejrzelśmy na Placu Napoleona w gmachu Polskiej Telewizji. Byliśmy dumni z naszych piłkarzy. Nie dały powodów do radości dwa przegrane mecze eliminacyjne mistrzostw Europy z Hiszpanią, ale cieszył fakt, że zwłaszcza w Chorzowie w rywalizacji z Alfredem di Stefano i Luisem Suarezem nasi najwybitniejsi piłkarze Lucjan Brychczy i Ernest Pohl nie byli gorsi. Zdobyli po jednej bramce.

Z kierownictwem PZPN ściśle kontakty utrzymywał francuski menadżer polskiego pochodzenia, Juliusz Ukraińczyk. Długo zabiegał o to, by nasza repre-

zентация i czołowe drużyny klubowe wyjeżdżały na Zachód, a zachodnie zespoły od czasu do czasu gościły w Polsce. W roku 1959 niewątpliwie dzięki aktywności Ukraińczyka, PZPN do pracy z kadrą narodową zatrudnił trenera z Francji, Jean'a Prouff'a. To pierwszy odważny krok, choć nie do końca udany, a drugi – zaproszenie do Polski na cykl wykładów, wybitnego teoretyka i praktyka europejskiego piłkarstwa Gabriela Hanot'a.

Piłkarski życiorys Francuza można by wraz ze zdjęciem oprawić w ramki i obwozić po klubach i federacjach. Najpierw 12 razy wystąpił w reprezentacji Francji, potem chwycił za pióro. Pracował w „L'Intraseigneur”, „Miroir des Sports”, „Football” (organ FFF), następnie w „L'Equipe” i „France Football”, jako kierownik działu i redaktor naczelny. Zaraz po wojnie był też kapitanem związkowym Francuskiej Federacji Piłkarskiej, zaś przed wojną organizatorem pierwszych kursów szkoleniowych dla trenerów pracujących z młodzieżą. Wreszcie w jego głowie narodził się pomysł zwany dziś Ligą Mistrzów i Pucharem UEFA.

Do Warszawy sprowadzono więc fachowca najlepszego z najlepszych. W stołecznej AWF w wykładach słynnego Francuza uczestniczyło 70 polskich trenerów, w tym oczywiście Foryś, Górski, Koncewicz, Matyas, Talaga i inni. Wśród tych szczęśliwców, ale głównie jako dziennikarz-sprawozdawca, byłem również ja. Hanot swoje wystąpienia oparł na trzech fundamentach: historycznym (nacisk na rozwój systemów gry), współczesnym (głównie o szkole łacińskiej) i dotyczącym polskiego piłkarstwa. Zrozumiałe, że najbardziej interesowało nas, co „profesor profesorów” myśli o naszym futbolu. Dał do zrozumienia, że tak nasi trenerzy, jak i zawodnicy, wykazują „niewiarę we własne siły”. To jest istotna blokada psychiczna, trzeba z tym walczyć. Stwierdził również, że nasi piłkarze nie mają własnego stylu gry.

– Prezentujecie – powiedział Hanot – jakby zlepek wartości zapożyczonych od innych. A przecież macie moc własnych atutów, jesteście odważni, pełni po-



lotu i fantazji. Tylko z techniką piłkarską jesteście w tyle za światową czołówką. Nie brak jednak w Polsce dobrych piłkarzy. Na czoło wysunąłbym tu Brychczego, Pohla i Strzykalskiego, ale w sumie wasza technika nie jest finezyjna. Nie bardzo to rozumiem, jesteście przecież nacją piłkarsko uzdolnioną...

W roku 1959 pracowało w Polsce już kilku dobrze znanych trenerów zagranicznych: Janosz Steiner w Górniku Zabrze, Stiepan Bobek w Legii i właśnie Jean Prouff w PZPN. Szansę samodzielnego prowadzenia drużyny wojskowych miał Górski, nawet był z nią na przedsezonowym obozie szkoleniowym w Jugosławii, jednak ostatecznie powrócił do pracy w PZPN. Przed sezonem 1959 Legia została więc bez trenera. Na zgrupowaniu w Jugosławii Górski poznał późniejszego prezydenta Chorwacji, Frania Tudjmana. Wtedy, w randze pułkownika, był on prezesem Partizana Belgrad. Polubili się, a że żaden z nich nie „wylewał za kołnierz”, wypili niejedną lampkę śliwownicy. Kazimierz zwierzył się Tudjmanowi z kłopotów Legii:

– Nie macie trenera?! – mocno zdziwił się Franio. – To się dobrze składa... Właśnie szukam dobrej pracy dla Stiepana Bobka. To mój przyjaciel, Chorwat. Polecam, bierzcie go do Warszawy!...

Legia i Górski wrócili do kraju. Kazio nie chciał, jak to przysłowiowe cięle, co pokornie piersi dwóch matek ssie, być jednocześnie w Legii i PZPN. Zdecydował, że nadal będzie przygotowywał juniorów do turnieju UEFA w Bułgarii. Wcześniej jednak sens rozmowy z Tudjmanem dość wiernie przekazał szefowi Legii pułkownikowi Edwardowi Potorejce. Ten nie dowierzał:

– Kaziu, ty naprawdę nie chcesz być u nas?...

Milczeniem zbył Górski to pytanie. Kiedy Potorejko nie miał już żadnych wątpliwości, wyszeptał zawiedziony:

– No, dobrze... W takim razie lecę zaraz do Belgradu, porozmawiam z prezesem Tudjmanem i... przywiozę Bobka.

Chorwat przed przylotem do Warszawy szkolił młodzież Partizana Belgrad. Obok legendarnego bramkarza Beary przez długie lata był najpopularniejszym piłkarzem Jugosławii. Świetnie wyszkolony, strzelał dużo bramek. Był też charyzmatycznym kapitanem reprezentacji „plavich”. Jakim będzie trenerem? W Legii to nie łatwy kawałek chleba. Czy Bobek potrafi go przełknąć? Zrobił niezłe wrażenie, po rundzie wiosennej 1959 był z Legią na udanym tournée w USA, podziwiał tam Brychczego, ale na Łazienkowskiej pracował zaledwie 9 miesięcy.

W tak krótkim czasie trudno było poznać jego wszystkie zalety. Wojskowi zawsze słynęli z dobrego wyszkolenia technicznego. Niewątpliwą zasługą Chorwata jest, że zdołał je podnieść na jeszcze wyższy szczebel, zwłaszcza technikę strzału. Często obserwowałem zajęcia Bobka i czasami sam kopałem na bramkę Stasia Fołtyna. Z reguły uderzałem czysto i mocno prostym podbiciem. Widać robiłem to niezłe, bo Bobek strzelec wyborowy, wówczas gdy instruował zawodników z pola, pozwalał na „szlifowanie” formy bramkarza.

Legioniści uwielbiali tzw. „małą grę”, krótkie, przyziemne podania, rzadziej stosowali dłuższe przerzuty. Właśnie o tę sferę zagrań zadbał Bobek, nazywał to „diagonalnymi rzutami”. Najszybciej takie akcje po przekątnej przyswoił sobie Marcei Strzykowski. Stiepan mówił o nim:

To niezwykle utalentowany pomocnik, dynamiczny, dobry technicznie, mocno strzela z dystansu. Umie poderwać drużynę. Dziwiłem się, dlaczego tak rzadko gra w reprezentacji, przecież z Niemcami w Hamburgu zagrał kapitalnie. Teraz już wiem! Malkontent i niesamowity nerwus! Łatwo go sprowokować. Poza tym „Mari” za często napompuje swój organizm „wysokoprocentowymi witaminami” w płynie. To go osłabia. Gdy w celach zdrowotnych zaleciłem mu picie wody mineralnej, obejrzał butelkę i szybko odrzucił: „Tu piszą, że „miralka” ułatwia trawienie i chroni przed tyciem. Nie pija! Już i tak po pana treningach za dużo schudłem...”